



Grzegorz Braun

Agnieszka Piwar: Wielokrotnie wyrażał Pan przekonanie, że w państwo polskie nie istnieje, a na naszym terytorium, kosztem narodu polskiego realizowany jest całkiem inny projekt polityczny?

Grzegorz Braun: Owszem, tak to nazywam: „KONDOMINIUM ROSYJSKO-NIEMIECKIE POD ŻYDOWSKIM ZARZĄDEM POWIERNICZYM” – to jest scenariusz da nas przewidziany. Przez kogo? Przez międzynarodowe konsorcjum naszych tradycyjnych zaborców i okupantów. Że Moskwa i Berlin robią wszystko, by zgodnie układać wzajemną współpracę – to widać gołym okiem. Było by pół biedy, gdyby oba te kraje sięgały do głębi swych własnych najwspanialszych tradycji. Ale jedni i drudzy upierają się czerpać bardzo płytko – horyzonty ich racji stanu zakreślają więc z jednej strony Piotr i Katarzyna do spółki ze Stalinem, a z drugiej – paru kolejnych Fryderyków i Bismarck ze Stresemannem. Że ta współpraca jest ostatecznie zawsze po naszym trupie – to wiadomo z historii. Dlatego trafna była wstępna diagnoza pana premiera Jarosława Kaczyńskiego, który przed paru laty wspominał właśnie o istnieniu „kondominium rosyjsko-niemieckim” na naszym terytorium. Ja jednak czuję się w obowiązku tę diagnozę twórczo rozwinąć i uzupełnić o „żydowski zarząd powierniczy”. Bo jeśli dostrzegamy, że na post-peerelowskiej scenie politycznej działają niemal ostentacyjnie: partia ruska i partia pruska, to zachowując uczciwość intelektualną musimy też zauważyć partię interesów żydowskich. To jest oczywiście ten słoń w menażerii, którego większość uczestników życia publicznego usilnie stara się nie zauważać. Czemu? Bo jest oczywistym, że to w sposób szczególny zagraża śmiercią – co najmniej cywilną. Tymczasem bez uwzględnienia tego kluczowego, śmiem twierdzić, elementu, wszelkie dalsze dywagacje tracą spójność.

Wydaje się jednak, że dążenia Niemiec i Rosji do podporządkowania sobie Polski są nie do pogodzenia z silną obecnością USA w Europie Środkowej – ten konflikt interesów, to chyba dla nas okoliczność pomyślna?

Owszem, z jednej strony recydywa paktu Ribbentrop-Mołotow jest projektem priorytetowym zarówno dla Moskwy, jak i Berlina – i chodzi tu dziś nie tyle o wspólne plany militarne, ile o pakt gospodarczy, który był również podstawą sojuszu Hitlera ze Stalinem. Im chodzi zawsze o to samo – o wzajemną transfuzję rosyjskich surowców i niemieckich technologii. Z drugiej strony Amerykanie, chcąc zachować rolę „wujka” na kontynencie europejskim, muszą utrzymać rolę głównego i nieodzownego arbitra w Europie Środkowej. Dlatego m.in.

zdecydowali się tak energicznie wkroczyć na Ukrainie - czego tu szerzej nie omówię. Zauważę tylko, że wobec wszystkich tu wymienionych graczy (zarówno Rosji z Niemcami, jak i USA), Żydzi mogą uchodzić za najlepszego mediatora i rzecznika międzynarodowego kompromisu, przy czym mogą się powoływać na bardzo solidne argumenty z historii. Nie było wszak bardziej lojalnych i konsekwentnych rzeczników niemczyzny na ziemiach polskich, niż Żydzi, którzy tradycyjnie okazywali się lepszymi Prusakami od samych junkrów pruskich (co możemy prześledzić na licznych przykładach z historii: od afery Lehmana 1721, po np. żydowski pogrom Polaków w Buku 1848). A z drugiej strony nie było na ziemiach polskich elementu silniej rusyfikującego, a zatem deopolonizującego, niż Żydzi-litwacy (patrz np.: uwagi Józefa Piłsudskiego „Do towarzyszy socjalistów żydów”, czy inicjatywa Wolnego Miasta Białegostoku 1918). Jednych i drugich łączyła powszechna obojętność - w momentach próby posunięta do otwartej wrogości - wobec sprawy polskiej. W momentach dziejowej próby diaspora żydowska orientowała się z jednoznacznym dystansem wobec polskich aspiracji państwowych - tak było zawsze, gdy ważyła się sprawa istnienia i kształtu ustrojowego Rzeczypospolitej. Nie szukając już przykładów z poprzednich stuleci, widzimy zawsze to samo: w latach 1918-21 (we Lwowie, czy w Wersalu, a potem nawet w polskim Sejmie Żydzi walczą z zasadą suwerenności Polaków na własnym terytorium); w roku 1939-40 (elity żydowskie w znacznej większości traktują państwo polskie jako upadłe, swój los wiążąc wyłącznie z władzami okupacyjnymi, inwestując czy to w projekt sowietyzacji, czy gettoizacji, tak czy inaczej wypowiadając lojalność państwu polskiemu); i poczynając od roku 1944 (gremialnie opowiadając się za sowietyzacją Polski i uczestnicząc w akcjach prowadzących do pauperyzacji i eksterminacji polskich patriotów); a wreszcie znów od roku 1989 (Żydzi inwestują gremialnie w formacje polityczne i ideowe otwarcie kwestionujące ideę suwerenności narodu polskiego - najbardziej oczywisty przykład, to oczywiście „GWiazda śmierci”, jako jeden z centralnych ośrodków walki z polską tradycją i suwerennością). Tego wszystkiego śladu nie ma w świeżo otwartym Muzeum Historii Żydów Polskich, gdzie z jednej strony prezentuje się en gros antypolską, judeoidealistyczną narrację, a z drugiej - na otarcie łez - jak zwykle bierze się Polaków pod włos zafałszowanymi legendami „żydowskiego patriotyzmu” (z dyżurnymi: pułkownikiem Berkiem Joselewiczem, rabinem Berm Meiselsem i Jankielem z „Pana Tadeusza”), co jest oczywistym żerowaniem na ignorancji, jaką w tej tematyce cechuje się polska inteligencja. Ja zaś mając więc w tej historii jakieś takie rozeznanie, a z drugiej strony śledząc bieżące doniesienia prasowe - w tym pojawiające się m.in. takie „balony próbne”, jak „RUCH RENESANSU ŻYDOWSKIEGO W POLSCE”, czy działania izraelskiego zespołu rządowego HEART - stwierdzam, że projekt instalacji żydowskiej suwerenności w Europie Środkowej jest bardzo realny. A aktualna aktywizacja agentury amerykańskiej u nas bynajmniej tego niebezpieczeństwa nie redukuje - wręcz przeciwnie.

Co Pan ma na myśli mówiąc o „aktywizacji agentury amerykańskiej”?

Że w Polsce działają oprócz agentur państw ościennych także agentury inne, np. amerykańska - tego trudno nie zauważyć. Pisał o tym zresztą bardzo otwarcie np. red. Tomasz Sakiewicz z „Gazety Polskiej” - tyle że wolał używać elegantszego kryptonimu: „alianci”. Niektórym polskim patriotom zdaje się, że wyłącznie niezłomna lojalność sojusznicza wobec Stanów Zjednoczonych dać może punkt oparcia dla jakiegokolwiek polityki niepodległościowej - ja ten pogląd pojmuję, ale nie podzielam. Problem bowiem w tym, że warunkiem sine qua

non takiej polityki musi być pełny konformizm wobec roszczeń żydowskich i bezkrytyczny stosunek do państwa położonego w Palestynie. Taką politykę w jej najlepszym wydaniu realizował niewątpliwie z wielkim oddaniem ś.p. Prezydent RP Lech Kaczyński - i otóż horyzonty tej szkoły polskiego patriotyzmu wyczerpały się, ni mniej, ni więcej, 10 kwietnia 2010 roku w zamachu smoleńskim. „Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły” - tyle warta okazała się niezłomna lojalność ś.p. Prezydenta wobec Waszyngtonu i Tel-Awivu, że nawet na jego pogrzebie nikt stamtąd się nie pokazał. Warto więc oczywiście starać się o jak najlepszy PR i jak najskuteczniejszy lobbing na rzecz polski za Atlantykiem, ale warto widzieć horyzonty naszych możliwości na tamtym gruncie.

Pańska wizja zaangażowania USA w reaktywację „Judeo-Polonii” łatwo może być zaliczona do „teorii spiskowych”.

Ja po prostu realnie oceniam możliwości polskiego i żydowskiego lobbingu w Waszyngtonie. I wyobrażam sobie, że Żydzi bez większego trudu mogą przedstawiać się jako jedyni wiarygodni gwaranci utrzymania amerykańskiej obecności na kontynencie europejskim. Co zapewne nie przeszkadza im jednocześnie udzielać analogicznych gwarancji „ubezpieczeń wzajemnych” wobec Niemiec i Rosji. Komu się to wydaje księżycowe, ten najwyraźniej ma krótką pamięć historii, w której interesy diaspory i państwa żydowskiego nierozłącznie spletały się z interesami Anglosasów. I warto, by te lekcje przerobili ci, którym zdaje się, że polski lobbing może skutecznie rywalizować z żydowskim w Waszyngtonie, czy Londynie.

Gdzie szukać analogii?

Warto pamiętać, że np. Wielka Brytania (z czego większość polskiej inteligencji, nawet historyków nie bardzo zdaje sobie sprawę) była bodaj najbardziej konsekwentnym wrogiem polskiej niepodległości i rzecznikiem obcych interesów na naszym terytorium. Najpierw chodziło o interes pruski, bo to Prusy, pierwsze i największe państwo protestanckie na kontynencie były najważniejszym protegowanym Londynu. Nota bene: bezstronna historiografia powinna właśnie Wielką Brytanię wymieniać jednym tchem razem z Rosją, Austrią i Prusami, jako czwartego naszego rozbiornicę - Londyn domagał się cesji Torunia i Gdańska na rzecz Prus bardziej otwarcie, niż czynił to sam Berlin. Mówię, ma się rozumieć, o epoce rozbiorowej. A następnie Wielka Brytania staje się najpoważniejszym narzędziem realizacji politycznych aspiracji diaspory żydowskiej - co staje się zupełnie jawne już w połowie XIX wieku, gdy np. sir Mojżesz Montefiore odbywa misje polityczne w naszym regionie jednocześnie występując np. wobec władz rosyjskich jako dyplomata brytyjski, a zarazem jako oficjalny żydowski lobbysta. Dlatego nie jest dla mnie zaskoczeniem, że np. brytyjska Izba Lordów angażuje się teraz tak silnie w sprawę egzekwowania żydowskich roszczeń majątkowych wobec Polski. Otóż problem w tym, że nasi transatlantyccy sojusznicy, których niezawodnym „aliantem” stara się być np. red. Sakiewicz, pełnią obecnie wobec państwa położonego w Palestynie tę samą usługową rolę, jaką Wielka Brytania pełniła wobec diaspory żydowskiej w okresie przedpaństwowym. Nie wydaje mi się, by w aktualnych okolicznościach polska racja stanu mogła znaleźć w elicie amerykańskiej zrozumienie trwalsze i głębsze, niż znajdowała w elicie brytyjskiej. I nie

sądzę, by na dłuższą metę mogło tu cokolwiek zmienić powoływanie się na życzliwość, jaką darzyli podobno Kościuszkę „ojcowie założyciele” Stanów Zjednoczonych. Co innego Jefferson z Waszyngtonem, a co innego Hilarzyca Clintonowa, której zaangażowanie w sprawę roszczeń żydowskich jest znane. Skoro mowa o roszczeniach majątkowych – sądzę, że roszczenia te, ujęte wspólnie ze zobowiązaniami dłużnymi, których tyle narobiło nam państwo peerelowskie, a następnie państwo post-peerelowskie dodało w postępie geometrycznym – wszystko to razem doprowadzi do powtórzenia operacji z przełomu lat 80. i 90: konwersji długu na wpływy polityczne. I jest to perspektywa bynajmniej nieodległa.

Jak bliska?

To się już dzieje. Ten sam minister Schetyna, który całkiem świeżo wypowiedział w naszym imieniu wojnę rezynom islamskim (po spotkaniu z sekretarzem Kerrym w Waszyngtonie w dniu masakry paryskiej) – parę miesięcy temu wyrażał przekonanie, że stać nas na wielomiliardowe „odszkodowania” dla Żydów. Słowo „odszkodowania” biorę w cudzysłów – bo chodzi przecież o brutalny szantaż, a nie żadne należne rekompensaty. Żydzi domagają się bowiem od Polski, by uznała dziedziczenie z mocy „prawa krwi” – aby organizacjom powołującym się na wspólnotę plemienną wypłacono haracz rekompensujący utracony majątek zmarłych osób fizycznych. To byłoby oczywiste złamanie zasad cywilizowanego prawa – ale establishment III RP nie reprezentuje w tej sprawie ani cywilizacji, ani interesu narodowego. Pomijam już fakt, że niepodległe państwo polskie nie miało nic wspólnego z tymi stratami, powstałymi w wyniku przestępczych aktów mordu i grabieży popełnianych pod jurysdykcją narodowych lub międzynarodowych socjalistów okupujących nasze terytorium od roku 1939. Ale pan Schetyna tę antypolską i bezprawną logikę przyjmuje za swoją. I być może w tym szaleństwie jest metoda: może wciągnięcie Polski w „wojnę z terroryzmem” ma doprowadzić do aktów terroru, które posłużą jako doskonały pretekst do zaprowadzenia na naszym terytorium stanu wyjątkowego, pod którego osłoną warszawski reżim wywiąże się z wszelkich obietnic, jakie w naszym imieniu poczynił.

Jakich obietnic?

Sęk w tym, że nie wiemy dokładnie, jakich. Nie wiemy np., jaki był nadzwyczajnej cel wizyty rządu warszawskiego w Jerozolimie przed czterema laty. Nie wiemy, co miał na myśli pan Bobby Brown, przewodniczący rządowego zespołu ds. rewindykacji, gdy przed rokiem mówił o „przełomie” w sprawie. Nie wiemy, czego dotyczyły słowa prezydenta Izraela, Rubena Rywlina, który jesienią zaszczycał swoją obecnością otwarcie Muzeum Historii Żydów Polskich (gdzie nb prezentował jawnie zafałszowane, polonofobiczne pojmowanie przeszłości) przy okazji wspomniał, że co do „zwrotu mienia żydowskiego”, to on „zna obietnice i umowy, które zostały zawarte”. Na tym właśnie polega problem, że on je zna – a my nie. A patronat nad operacją egzekwowania tego wymuszenia rozbójniczego sprawują – o ironio – nasi przyjaciele z ambasady przy Pięknej.

Powątpiewa Pan o wartości zobowiązań sojusznicznych ze strony Stanów Zjednoczonych?

Problem w tym, że nie dostrzegam na razie żadnych poważniejszych zobowiązań. Zobowiązania - i to „stachanowskie” - podejmujemy w tej relacji wyłącznie my. I tylko my ponosimy realne koszty - zarówno polityczne, np. w sprawie kiejkuckiej, jak i finansowe, mając np. łaskawe przyzwolenie na zakup F-16, które w razie wojny i tak odlecą w siną dal (tj. zgodnie z planem NATO zostaną zawczasu przebazowane na lotniska niemieckie). Ostatnio znów ogłoszono jako wielki sukces w naszych stosunkach fakt, że Amerykanie sprzedadzą nam za 250 milionów dolarów system raketowy JASSM - ale przecież wcale nie wiadomo, czy transakcja uwzględnia klucze do obsługi tego systemu, a zatem nie jest jasne, czy będziemy mieli możliwość autonomicznego dysponowania tą bronią. Poza tym jeszcze jesienią ubiegłego roku Senat USA zdecydował o wykreśleniu z planów na najbliższy rok wytycznych realnego dozbrojenia Wojska Polskiego. Mimo to z naszej strony, z ust ministra Schetyny znów padło zobowiązanie do głębszego zaangażowania w wojnę z muzułmanami. Co ma naprawdę z tego wynikać - poza zwiększeniem zagrożenia, że owi ekstremiści wezmą w końcu na celownik Polskę - to czas pokaże. Cokolwiek jednak obiecują Amerykanie - warto pamiętać, czym skończyły się obietnice legendarnego „off-setu” za nasze zaangażowanie w Iraku.

Proszę przypomnieć - czym?

Niczym. Dokładnie niczym. Owszem, sporo naszych żołnierzy nabyło niebagatelne doświadczenia - ale to jest korzyść względna. Bo przecież za własne pieniądze zainwestowaliśmy tu również w rezerwy kadrowe potencjalnej amerykańskiej i izraelskiej agentury. Ale jeśli idzie o korzyści strategiczne, państwo polskie nie osiągnęło zaangażowaniem w te wojnę dokładnie nic. Na kolejnym zakręcie dziejowym Waszyngton odplacił nam za naszą lojalność „resetem” - tj. po raz kolejny podał nas na tacy Moskałom.

Uważa Pan zatem, że kontynuacja sojuszu transatlantyckiego byłaby dla Polski szkodliwa?

W żadnym wypadku, nie zakładam niczego z góry. Zgódźmy się jednak, że przynajmniej do tej pory sojusz ten pozostaje dla nas rozczarowujący, bo w znacznej mierze bezowocny. Trzeba by więc i w tej rozgrywce wreszcie powiedzieć: „sprawdzam”. Trzeba, by i te stosunki wreszcie się urealniły. Przykładowa sprawa wiz jest tu najzupełniej elementarna, oczywista i dziecinnie prosta do rozstrzygnięcia. Póki obywatele Polski muszą znosić uciążliwości i upokorzenia związane z amerykańską procedurą imigracyjną (o kosztach nie wspominając) - nie widzę powodu, by obywatele amerykańskich nie miały dotyczyć identyczne zasady. Wyjątek uczyniłbym może dla obywateli USA legitymujących się polskim pochodzeniem.

Ale teraz jesteśmy przecież już po „resecie resetu” i Waszyngton energicznie wrócił do gry w naszym regionie - czy nie należy korzystać z tej okazji?

Proszę bardzo, ale na zasadach wzajemności. Pamiętajmy, że to Amerykanie są w tej sytuacji „na musiku” - jeśli chcą utrzymać się w roli globalnego hegemonu, muszą zachować pozycję arbitra na kontynencie europejskim - a nie uda im się to, jeśli nie zachowają pozycji rozgrywającego w Europie Środkowej. Właśnie dlatego tak

energicznie pogrywają z Rosjanami na Ukrainie. Ale to jest właśnie moment dla Polityki polskiej, by w końcu nieco zaliczyć w górę. To jest czas, by do Ameryki dotarł jasny komunikat, że Polska nie zamierza do tego sojuszu dopłacać. Proszę porównać profity jakie ze „strategicznego partnerstwa” regularnie czerpie np. Turcja - nie wspominając już o Izraelu, dla którego „sojusz” ten jest po prostu głównym narodowym przemysłem, na którym opiera się egzystencja państwa położonego w Palestynie. Gdybyśmy dostawali jedną dziesiątą tego, co tamci - rozumiałbym, że Amerykanie rzeczywiście mają wobec nas poważne zamiary. Ale tak niestety nie jest. Wyciągam więc z tego logiczny wniosek, że imperium amerykańskie nie włącza istnienia suwerennego państwa polskiego do swej racji stanu. Że skłonne jest jedynie używać nas do podbijania stawki w rozgrywce z Moskwą - jak to ewidentnie miało miejsce w wojnie ukraińskiej, w którą nasi sojusznicy usiłovali nas minionego lata wepchnąć po uszy. Gdyby Waszyngton robił to „na poważnie”, to już pół roku temu poszłoby za tym realne dozbrojenie i zmodernizowanie Wojska Polskiego. Ale w rzeczywistości właśnie w tym samym czasie Senat USA, jak już wspominałem, pracowicie wymazał z projektu polityki obronnej wszelkie konkrety nas dotyczące.

Czego zatem naprawdę chcą od nas Stany Zjednoczone?

Obawiam się, że niczego serio już do nas nie chcą. Najbardziej prawdopodobna zdaje mi się w tej sytuacji hipoteza pełnego przyzwolenia ze strony Waszyngtonu na instalację nowych enklaw suwerenności żydowskiej w Europie Środkowej - czyli realizację projektu, który ja nazywam właśnie: „KONDOMINIUM ROSYJSKO-NIEMIECKIE POD ŻYDOWSKIM ZARZĄDEM POWIERNICZYM”. Powiadam „enklaw suwerenności”, ponieważ projekt ten, jak przypuszczam, wcale nie musi mieć kształtu terytorialnie zintegrowanego i jednolitego. Inspirujące zdają mi się w tej mierze wynurzenia Beniamina Barbera, który w swoim zeszłorocznym tournée w naszym kraju wyrażał przekonanie, że przyszłość należy do miast - że to „duże miasta” powinny „przejąć władzę nad światem”. To właśnie, jak sądzę, dzieje się w Europie Środkowej - od Doniecka po Wrocław - gdzie suwerenność żydowskich oligarchii bierze tu górę nad suwerennością państw.

Kim jest Benjamin Barber?

To niegdysiejszy doradca prezydenta Clintona - dziś oddelegowany na front robienia maluczkim wody z mózgu i sufłowania skorumpowanym elitom, jaka jest aktualna „mądrość etapu”. Takich ludzi nazywam „stroicielami fortepianów” - bo to oni ustalają ton i pierwsi podają nutę, którą później podchwycą kolejne „pudła rezonansowe”. W Polsce szczególnie fetowany był - żadna niespodzianka - przez „GWiazdę śmierci” z ulicy Czerskiej w Warszawie. Jego wizja jak ułał pasuje do obecnej sytuacji w Europie Środkowej - zwłaszcza po parcelacji Ukrainy. Pierwszy etap, już mocno zaawansowany, to suwerenność wyspowa - konsorcjum „wolnych miast”, które wzajemnie gwarantują sobie bezpieczeństwo i możliwość prosperowania przez utrzymywanie drożności kanałów komunikacyjnych na lądzie i w powietrzu. To taka „Neo-Hanza” - dlatego projekt ten ma niewątpliwie wiele uroku także dla Berlina, który dostrzegać w nim musi obiecujące perspektywy dla realizacji projektu Mitteleuropy.

Proszę jednak wyjaśnić, dlaczego w ogóle Żydzi mieliby dążyć do budowy nowego państwa - i to akurat w Europie Środkowej - skoro jedno już mają?

W telegraficznym skrócie: możliwości istnienia państwa położonego w Palestynie wyczerpują się. Po prostu: za mało jest chętnych, żeby tam mieszkać.

Przecież ostatnio, po masakrze paryskiej, premier Netanjahu wzywał Żydów do emigracji z Francji do Izraela. To stoi w sprzeczności z Pańską tezą o planach „przeprowadzki” Izraela.

Wręcz przeciwnie – to tylko potwierdza moją diagnozę o wyczerpaniu się rezerwy geopolitycznego państwa położonego w Palestynie. Tezę tę zresztą już od dawna głoszą ludzie, których skądinąd trudno podejrzewać o brak życzliwości wobec Izraela – w 2012 roku szeroko cytowana i dyskutowana była np. wypowiedź Henry Kissingera, który stwierdził, że „w ciągu 10 lat Izrael zakończy swoje istnienie”. Ale państwo Izrael nie jest przecież i nigdy nie było jedynym projektem geopolitycznym, na który stawiałyby elity żydowskie. Pamiętajmy, że dla tej formacji kluczowa była zawsze filozofia „mądrości etapu”.

Mimo wszystko, Polakom trudno chyba pogodzić się z wizją zgodnego zaangażowania w ten projekt wszystkich wymienionych przez Pana mocarstw. Jeszcze Niemcy i Rosja, ale Ameryka?

Amerykanie poniekąd splącają w ten sposób dług za niewywiązanie się ze zobowiązania do pacyfikacji Bliskiego Wschodu. Trzy lata temu zamierzali po prostu zbombardować Teheran – i tym samym zapewnić Izraelowi „Lebensraum” na następne dekady. Miało się to oczywiście odbyć pod szyldem „międzynarodowej koalicji do walki z terroryzmem” – nawet nas już do tej koalicji zdążyli wmontować (patrz: udział polskich F-16 na manewry na pustyni Negev na początku 2012 r.). Ale sprawa się przedłużyła – bo okazało się, że najpierw trzeba zabezpieczyć rubież wyjściowe i zaplecze przyszłego teatru wojny, tzn. „zaprowadzić demokrację” w Syrii. Sprawa ma oczywiście jeszcze szerszy kontekst – globalnej wojny imperiów, tj. przyszłej wojny USA z Chinami – nie sposób wszystko to tutaj omówić. Generalnie sprawa ma w moim przekonaniu taki efekt, że Amerykanie zdecydowali żydowskie oczekiwania niejako zrekompensować „w naturze” – tj. właśnie nami.

Czy prezentując tak jednoznacznie podejrzliwą interpretację i krytyczną ocenę relacji polsko-amerykańskich i polsko-żydowskich nie zamyka Pan przypadkiem oczu na inne problemy - np. zagrożenie rosyjskie?

No, oczywiście, takie rzeczy może mówić tylko przedstawiciel „rosyjskiej piątej kolumny” i „wielbiciel Putina” (śmiej). Słyszałem to już nie raz – zwłaszcza w minionym roku, kiedy to najwyraźniej nastąpiła pełna mobilizacja agentury amerykańskiej i żydowskiej u nas. Każdy, kto choćby tylko sceptycznie odniósł się do pomysłu wpakowania Polski w wojnę ukraińską, musiał być zaraz ogłoszony „agentem Putina”. Patrioci żoliborscy zrobili w ciągu tego roku wiele, by Polska znalazła się w tej wojnie w roli głównego winowajcy i koźła ofiarnego – na którego łatwo potem przyjdzie innym zwalić odpowiedzialność za wszystkie utrapienia i tragedie, jakie spadły na naszych sąsiadów. Sądzą oni, jeśli dobrze rozumiem, że trzeba korzystać z okazji wystąpienia w roli najwierniejszego wasala Amerykanów, by niejako „w bonusie” otrzymać promesę na rządy w Warszawie.

Jak złudne to nadzieje - to wynika, mam nadzieję, z moich wcześniejszych wypowiedzi. A ludzie dobrej woli, których przecież nie brak ani w PiS-ie, ani w mediach pełniących dlań usługi propagandowe, warto by wzięli pod rozwagę fakt, jak często zdarzało im się przemawiać jednym głosem z tymi, których przecież słusznie uważają za zaprzędanych nieprzyjaciół sprawy polskiej. Jeśli „Gazeta Polska” prezentuje w sprawie ukraińskiej koncepcje geopolityczne zbliżone czasem aż do identyczności z „Gazetą Wyborczą”, to chyba nie jest dobrze. Jeśli i inne media p.o. prawicowych konsekwentnie przemilczają dokładnie to samo, co media głównego ścieku - to oczywiście z każdego, kto do tej zмовы milczenia się nie przyłącza, łatwo zrobić oszołoma i obsesjonata.

To akurat nie na tych łamach. Dziękuję za rozmowę.